

Obrazki galicyjskie

Iwan Franko



Poznańskie Towarzystwo
im. Iwana Franki
Познанське товариство
ім. Івана Франка

OBRAZKI GALICYJSKIE

Iwan Franko

POWIEŚĆ

Tytuł

Obrazki galicyjskie

Autor

Iwan Franko

Wydawnictwo

Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

Redakcja

Przemysław Lis-Markiewicz

Korekta

Elżbieta Morawska

Okładka

Łukasz Kowalski

Copyright by Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

ISBN: 978-83-969818-0-6

Poznań 2023

SPIS RZECZY

Strona 4

Nieco o sobie samym

Strona 8

Dwaj przyjaciele

Strona 17

Historia mojej sieczkam

Strona 24

Hawa

Strona 49

Jeden dzień z życia uliczników lwowskich

Strona 61

Pantałacha

Nieco o sobie samym

Są pisarze, których życiorys jest bardziej zajmujący niż ich utwory, które są tylko przyczynkami do ich charakterystyki, częstkami ich życiorysu. To geniusze, wybrańcy losu, wielcy i oryginalni w dobru i złu, w szczęściu i cierpieniu. To koryfeusze literatury, twórcy nowych kierunków. Można ich nazwać znakami czasu, w którym żyli, a ich życiorys oddaje ducha epoki, gdyż w nich streszcza się on i znajduje swój najpotężniejszy wyraz. Zdaje mi się, że tylko tacy pisarze zasługują na szczegółowe i z całym aparatem źródłowym opracowane biografie, gdyż ich życie i samo przez się jest arcydziełem, jak ich utwory, które nawet nieudolnie opowiedziane, wzbogacają skarbnicę życia duchowego ludzkości.

Oprócz szczupłego grona tych olbrzymów jest ogromna rzesza pisarzy-robotników i rzemieślników, mniej lub więcej utalentowanych, mniej lub więcej pracowitych, wpływowych, poczytnych i zasłużonych, lecz niedorastających do miary owych mistrzów. Pieką oni, jak mówił Kraszewski, chleb codzienny dla konsumpcji umysłowej, rozkruszają na drobną monetę te bryły złota idealnego, jakie wydobyli mistrzowie z tajemniczych głębin natchnienia, wypełniają swą pracą stworzone przez siebie ramy. Bibliografia ich utworów starczy za życiorys, człowiek niknie niejako poza tym, co zrobił. Tacy pisarze nie znajdują biografów, są jak robotnicy, którzy pomagają wznosić gmach cywilizacji, ale ich nazwisk nie wypisuje się na frontonie tego gmachu.

Jako jeden z tych robotników, dokładających cegłę po cegle do owej budowy, nigdy żywiej nie odczuwałem tego swego charakteru, jak w chwili, gdy z obowiązku przyzwoitości mam się zaprezentować publiczności polskiej, której oddaję do rąk

zbiorek swych obrazków nowelistycznych. Co mam o sobie powiedzieć? Żem się urodził? Ten nieszczęśliwy wypadek zdarzył się każdemu z nas, szanowni czytelnicy. Żem się uczył cokolwiek? Żem kochał i cierpiał? Wszakże i faryzeusze czynią to samo, mówiąc słowami Pisma Świętego. A poza tym nic nie ma w moim życiu godnego uwagi prócz tej świeżbiączki do pisania, prócz popędu do obserwowania życia ludzkiego w jego najbardziej różnorodnych przejawach, prócz tej nieukozonej nigdy i niczym gorączki, która mnie zmusza do przejmowania się cierpieniami i radościami, myślami i marzeniami innych ludzi. Lecz i te wszystkie patologiczne przymioty nie są niczym charakterystycznym dla mnie. Są to, zdaje się, zwykłe cechy rzemiosła pisarskiego.

*Was ist denn an dem ganzen Wicht Originell zu nennen?*¹ [Co tu można nazwać oryginalnością?] Na to pytanie Goethego odpowiadam: Chyba to, że jestem Rusinem, pochodzącym prawdopodobnie od „zrusinionych” kolonistów niemieckich, że ojciec mój był zwykłym chłopem i odrabiał pańszczyznę – nie żadnemu dziedzicowi, lecz c. k. kamerze, nie umiał ani czytać, ani pisać, lecz mimo to był człowiekiem światłym i oddał mnie, chorowite i do chłopskiej pracy nieudolne dziecko, do szkoły. Dotychczas wyjście spod chłopskiej strzechy na szerszą widownię publiczną bywa u nas rzeczą nadzwyczaj rzadką. Urodzony w roku 1856 w Nahujowicach, w powiecie drohobyckim, uczęszczałem przez dwa lata do wiejskiej szkoły w Jasienicy Solnej, potem do tak zwanej normalnej szkoły u ks. bazylianów w Drohobyczu, a następnie tamże do gimnazjum. Złożywszy egzamin dojrzałości, uczęszczałem na uniwersytet we Lwowie, lecz studia moje przerwał proces socjalistyczny 1877–8 roku, w który zostałem wmieszany Bóg wie dlaczego: ba, nawet skazany na sześciotygodniowy areszt (po ośmiu miesiącach więzienia śledczego!) za przynależność do tajnego towarzystwa, do którego w istocie nigdy nie należałem i które, o ile wiem, nigdy nie istniało. A więc jeden z niewielu oryginalnych rysów w moim życiu, bo rzecz podobna nie każdemu się zdarzyła!

Dalszy opis mego życia zastąpić może bibliograficzny spis moich prac, lecz ten pozostawiam Estreicherom dwudziestego wieku, jeżeli w ogóle któremu z nich zechce się grzebać w stosach codziennie zadrukowywanej bibuły, stanowiących kwintesencję naszej produkcji literackiej. Powiem tylko pokrótce, że odtąd byłem jeszcze parę razy uwięziony i zawsze puszczany na wolność bez rozprawy, żem mimo to skończył uniwersytet i nawet, ku wielkiemu rozgoryczeniu niektórych moich bliższych braci Rusinów, odważyłem się zdać z wyszczególnieniem doktorat ze sławistyki w Wiedniu i habilitować się na wykłady literatury ruskiej w uniwersytecie lwowskim. Zjednoczonej koalicji rządowców z inkamerowanymi Rusinami udało się uratować Ruś od takiego nieszczęścia, jakim niewątpliwie stałyby się moje wykłady.

¹ Co tu można nazwać oryginalnością?

„Bójcie się Boga, jak można tego człowieka puścić na uniwersytet! Patrzcie tylko, w jakim on podartym surducie chodzi!” Tak ukwalifikował moją kandydaturę brat Rusin – ten sam, który za swą patriotyczną pracę dla dobra Rusi i Austrii pobiera sześć czy siedem plac. Rzecz oczywista, że wobec takiego argumentu kandydatura moja na prywatnego docenta musiała upaść, a motyw „politisches Vorleben” był tylko przyzwoitszym przykryciem istotnej przyczyny... Lecz nie chcę być oskarżycielem. Z goryczą czynić zwykłem to samo, co ks. Baudouin, który, gdy go uderzono w twarz, rzekł: „To dla mnie, panie, a cóż dla dzieci?” Rzecz oczywista, dla dzieci – w danym wypadku dla publiczności, trzeba czegoś innego. A więc zamiast szczegółów biograficznych parę wyznań.

Przede wszystkim przyznaję się do grzechu, który mi wielu patriotów poczyta za śmiertelny: nie kocham Rusinów. Wobec tej gorącej miłości, jaka dla „bratniego plemienia” bryzga często ze szpalt polskich pism zachowawczych, moje wyznanie wydać się może dziwne. Lecz cóż czynić, kiedy prawdziwe. Nie jestem już w wieku naiwnych i zaślepionych kochanków i mogę o takiej delikatnej materii jak miłość mówić trzeźwo. I dlatego powtarzam: nie kocham Rusinów. Tak mało pośród nich znalazłem prawdziwych charakterów, a tak dużo małostkowości, ciasnego sobkostwa, dwulicowości i pychy, że zaiste nie wiem, za co bym miał ich kochać, nawet pominąwszy te tysiące większych i mniejszych szpilek, jakie mi, nieraz w najlepszej intencji, wbijali pod skórę. Rozumie się. Znam parę wyjątków, parę osobistości czystych i godnych wszelkiego szacunku między Rusinami (mówię o inteligencji, nie o chłopach!), lecz te wyjątki niestety tylko potwierdzają ogólny wniosek.

Przyznam się do jeszcze większego grzechu: nawet Rusi naszej nie kocham, tak i w takiej mierze, jak to czynią, lub jak udają, że czynią patentowani patrioci. Co w niej mam kochać? By ją kochać jako pojęcie geograficzne, na to zbyt wielkim jestem wrogiem czczych frazesów, zbyt dużo widziałem świata, bym miał utrzymywać, że nigdzie nie ma tak ładnej przyrody, jak na Rusi. By kochać jej dzieje, na to zbyt dobrze je znam, zbyt gorąco kocham ideały ogólnoludzkie sprawiedliwości, braterstwa i wolności, bym nie miał czuć, jak mało w dziejach Rusi przykładów prawdziwego ducha obywatelskiego, prawdziwego poświęcenia, prawdziwej miłości. Nie. Kochać te dzieje bardzo trudno, bo prawie na każdym kroku trzeba by chyba płakać nad nimi. Czy może mam kochać Ruś jako rasę – tę rasę ociężałą, niesforną, sentymentalną, pozbawioną hartu i siły woli, tak mało zdolną do życia politycznego na własnych śmieciach, a tak płodną w perekińczyków najrozmaitszego gatunku? Czy może mam kochać świetną przyszłość tej Rusi, której nie znam, dla której świetności żadnych nie widzę podwalin!

Jeżeli mimo to czuję się Rusinem i według możliwości i sił mych pracuję dla Rusi, to, jak widzisz szanowny czytelniku, wcale nie z powodów sentymentalnej natury. Skłania mnie do tego przede wszystkim poczucie psiego obowiązku. Jako syn chłop

ruskiego, wykarmiony czarnym chłopskim chlebem, pracą twardych rąk chłopskich, poczuwam się do obowiązku pańszczyzną całego życia odrobić te szelągi, które wydała chłopska ręka na to, bym mógł się wdrapać na wyżynę, gdzie widać światło, gdzie pachnie swoboda, gdzie jaśnieją ideały wszechludzkie. Mój patriotyzm ruski, to nie sentyment, nie duma narodowa, to ciężkie jarzmo przez los włożone na moje barki. Mogę się zżymać, mogę po cichu przeklinać los, że mi włożył na barki to jarzmo, ale zrzucić go nie mogę, innej ojczyzny szukać nie mogę, bo bym się stał podłym wobec własnego sumienia. I jeżeli cokolwiek ułatwia mi dźwiganie tego jarzma, to widok tego ludu ruskiego, który, chociaż gnębiony, ociemniany i demoralizowany długie wieki, chociaż i dziś ubogi, niedołężny i nieporadny, przecież pomalu podnosi się, czuje w coraz szerszych masach żądze światła, prawdy i sprawiedliwości i szuka dróg do nich. A więc warto pracować dla tego ludu i żadna uczciwa praca nie pójdzie na marne.

Nazywają mnie nieraz gorliwi patrioci polscy nieprzyjacielem Polaków. Co mam powiedzieć na taki zarzut? Czy powołać się na świadectwo tych Polaków i Polek, których kocham, których wysoko cenię i dla których mam wszelki szacunek? Nie, pójdę prostszą drogą i powiem otwarcie: nie lubię zbyt gorliwych patriotów, tych, którzy mają usta pełne Polski, a których serce zimne jest dla niedoli chłopa lub najemnika polskiego. Sceptycznie analizując swój własny patriotyzm ruski, stosuję tę samą miarę i do patriotyzmu patentowanych patriotów polskich i nie mogę w nich zasmakować. I nie dziwię się, że mi płacą tą samą monetą z sowitym procentem.

Mówiono o mnie, że nienawidzę szlachty polskiej. Jeżeli do szlachty polskiej zaliczyć Orzeszkową i Konopnicką, Prusa i Lenartowicza, Ostoję i Karłowicza – to zdanie takie o mnie będzie najzupełniej niesłuszne, bo tę prawdziwą szlachtę polską, tę elitę narodu polskiego cenię i kocham, jak kocham wszystkich ludzi szlachetnych własnego i każdego innego narodu. Jeśli takim samym uczuciem nie ogarniam tego lub owego szlachcica galicyjskiego lub nawet większej ich części, to zapewne z powodów wręcz odmiennej natury od tych, jakie mnie powodują kochać tamtych. Jeżeli pośród szlachciców galicyjskich znajdę kiedy jakie sympatyczne wyjątki, nie omieszkam uderzyć o nich w wielki dzwon.

A teraz dość tej spowiedzi. Ruskie przysłowie mówi: Nie rób się słodkim, bo cię zlizą, nie rób się kwaśnym, bo cię oplują. A w takich opowiadaniach o sobie samym nic łatwiejszego, jak wpaść w jedną lub drugą ostateczność. Czuję, że i tak już powiedziałem niejedno, za co mi się z różnych stron dostaną cięgi, ale niech i tak będzie! Tego, com powiedział – nie cofnę i zakończę przysłowiem ruskim: „Dobre tak mojij żinci, naj mene bjut”².

Dr Iwan Franko.

² „Dobrze tak mojej żonie, niech mnie biją” – przekład z języka ukraińskiego Przemysław Lis-Markiewicz – tu i dalej przypisy P. L.-M.

DWAJ PRZYJACIELE

– Et, co to wam, kumie, mówić o przyjaźni. Przyjaciele, przyjaciele! A ja wam nie wiem co w zakład postawię, że na świecie nie ma ani prawdziwej przyjaźni, ani przyjaciół prawdziwych. Nazwijcie mnie, jak chcecie, gadajcie, co się wam żywnie podoba, ja swoje powtarzać będę! Bo i cóż to przyjaciel? Czy znajdzie się taki, coby was wspomógł w biedzie, w nieszczęściu poratował? Ot, jeżeli chcecie, to ja wam zaraz opowiem historię, żebyście się przekonali, jak to dzisiaj nie warto liczyć na przyjaciela!

Wszak wiecie sami, w jakiej to żyłem przyjaźni z Chomą Wrzosem. Bo i jakże nie mieliśmy się pobratać! Obaj, jak wiecie, byliśmy parobkami, jakich niewielu znajdzie się w siole. Chłopcy niby dębczaki, młodzi, żwawi, krzepcy. Nie skrzywdził Bóg rodziców naszych na dostatku ani nas samych na ochocie do pracy. Postroimy się, bywało, w niedzielę, jak Bóg przykazał, nie wstyd nam pokazać się między ludźmi. A dziewczuchy! Ech, uwijały się koło nas, uwijały! Zwyczajnie, chłopcy dziarscy i nie z byle jakiego rodzaju.

Druźbowaliśmy³ tedy z Chomą, aż miło. Czy bywało w las po drzewo, czy w oczerety ze strzelbami na kaczki, do tańca, czy też w innej jakiej sprawie, my zawsze razem i razem. I nie było między nami swarów, niezgody.

– Semen – mówi, bywało, Choma – wyjdź tam jutro na moją sianożęć⁴ podciąć trochę trawy, twoja już, skoszona.

³ Druźbować (z języka ukraińskiego) – tu: przyjaźnić się.

⁴ Sianożęć – łąka przeznaczona do zbioru traw na siano.

– To i czemużby mi nie wyjść. Wyjdę – mówię mu – z ochotą.

Innym znów razem powiadam ja do Chomy:

– Przyjacielu, nie masz już nic do roboty, ot, weź no naszą sieć i ponaprawiaj, wybierzem się do Dniestru na ryby.

– A dobrze – mówi Choma, nie czekając długo, i naprawia sieć.

Nasza wieś, jak wiecie, nad samym Dniestrem rozłożyła się na równinie. Obaj z Chomą kochaliśmy się w rybołówstwie. Pójdziem, bywało, czy to z sakami, czy z siecią na ryby i nalowim takiej ślicznoty, że warto popatrzeć!

Tak więc żyliśmy z Chomą jak bracia rodzeni. Nieraz dziwili się ludzie. Jak oni – powiadają – zgodzić się mogą ze sobą? Wszak to niby ogień z wodą! Ja bo, widzicie, z urodzenia powolny sobie, a Choma prędki, jak iskra. Ale co tu długo mówić, poprzyjaźnili się, to nie pora było oglądać się poza siebie! Godziliśmy się jakoś wzajemnie. Żeby w gromadzie naszej była taka zgoda przy wyborach nowego wójta, to byśmy z pewnością nie mieli takich tarapatów jak to zwykle bywa.

Ech, lata, lata młode! Świecili byście się dla każdego parobka, gdyby nie ta straszna wiedźma – branka.

Dzisiaj to jeszcze jako tako. Wezmą cię do wojska, no i cóż począć, ale bodaj człowieka uważają za człowieka, nie pastwią się jak nad bydłkiem jakim. Prawda, że i dziś jeszcze dostanie niejeden swoje, zanim się tej musztry wyuczy, ale gdzież to podobne do tego, co dawniej bywało? Zresztą i starzy ludzie mówią: póty się pies pływać nie nauczy, póki mu się w uszy nie naleje; bez pracy nie ma kołaczy. Teraz bo i sam asentyrunek⁵ nie taki straszny jak dawniej bywało. Stawisz się czleku raz, drugi i trzeci, nie wezmą cię, wypiszą i jużes wolny, choć zaraz żeń się, albo do woli hulaj po dawnemu. Ale za moich czasów nie takim wszystko szło trybem! Chroń was Boże od czegoś podobnego! Dawniej bywało tak, że mandatariusz⁶ sam spisuje i podaje kogo mu się podoba do asentyrunku, nie pytając, czy stawileś się trzy, czy sześć lub i piętnaście razy. W ten sposób nie jeden i dziesięć i piętnaście lat w wiecznym żyje strachu... Ot, myśli sobie, wpadną żandarmi, zakują w łańcuchy i dalejże pod miarę! Bo trzeba wam wiedzieć, że i asentyrunek dawniej inaczej się odbywał. Nie chodzili chłopcy sami do becyrku⁷, nie stawiali się jak dzisiaj, ale każdy z popisowych⁸ uciekał i krył się, gdzie jeno mógł, a mandatary z żandarmami ścigali biedaków po wszystkich kryjówkach. Żle było wówczas żyć na świecie bożym.

⁵ Asenterunek – system poboru rekrutów w Austro-Węgrzech; asenterunkowy – poborowy w wojsku austro-węgierskim, komisja asenterunkowa – komisja poborowa.

⁶ Mandatariusz – w Austrii i zaborze austriackim przed rokiem 1848 urzędnik państwowy sprawujący władzę policyjną i sądową na wsi nad poddanymi chłopami.

⁷ Becyrk – komisariat.

⁸ Popisowy – tu: poborowy.

Było to, jak dziś pamiętam, w same zapusty. Po siole gruchnęła nagle wieść, że zapisano nas do asentyrunku. Boże, ścisnęło mię coś za serce, kiedym to usłyszał. A mój Choma aż zdrętwiał cały – serdeczny mój.

– Nie czekajmy, Semenie, powiada, aż zle do nas przyjdzie, uciekajmy!

– Uciekajmy! – mówię i ja i bez namysłu i pobiegłem do domu zebrać się w drogę. Ojciec, matka i wszyscy swoi, skoro usłyszeli, co się dzieje, aż pobledli ze strachu i posmutnieli z żalu.

– Synu, mój synu! – zawodziła macierz – jednego cię mam na świecie jak jedną duszę u Boga i tego chcą mi ciężkie wrogi wydrzeć, zabrać pociechę moją.

– Cicho stara – przemówił ojciec przez łzy – nie wstrzymuj go, niechaj idzie, może go Bóg ustrzeże od ciężkiej niedoli! Zbieraj się, nieboraku. Pożegnaj matkę i siostry – pójdziem, odprowadzę cię za siolo.

Zebrałem się, pożegnałem najmilszych, matczysko omdleli, kiedy wyszedłem z chaty.

– Semenie, Semenie – wróć się! – krzyknęła. – Wróciłem.

– Niechaj raz jeszcze spojrzę na ciebie, synku mój, sokole jasny, duszyczko ty moja! Może to już ostatni raz patrzę na ciebie.

– Uspokójcie się matko, Bóg łaskaw! – rzekłem drżącym głosem, całując starą macierz w kolana, a tu tymczasem samemu ledwie że serce z żalu nie pęknie.

Poszliśmy z ojcem dołem ogrodami nad Dniestr. Tam czekał już na mnie Choma. Ojciec pobłogosławił nas, obdarzył radą na drogę, nauczył gdzie najlepsze kryjówki; pożegnaliśmy się i w drogę.

Oj, nabiedowałże się człek do wiosny, nabiedował. Boże jedyny, ty jeden wiesz o naszej niedoli. Uciekając z miejsca na miejsce, słyszymy to w tym, to w owym siole gospodarzą żandarmi, szukają zbiegów, tego i owego ujęli. Nas jakoś jeszcze Bóg ochraniał od nieszczęścia. Trzymaliśmy się też ciągle nadniestrzańskich okolic – moczarów i oczeretów.

A tu naraz mówią nam w jednej wiosce: Uciekajcie w pole, żandarmi z dwóch stron nadchodzą, przeszukują oczerety, wyłowią was, jak ryby w saku. Doloż nieszczęśliwa, gdzie się tu podziać? O ukryciu się we wsi nie ma i mowy; uciekać w pole, znaczyłoby to samochcąc leżeć w ręce żandarmów: bo pola nagie, lasku ani potoku nie widać dokoła; przychwycą, jak amen w pacierzu, chybabyśmy mieli zajęcze nogi, albo chybabyśmy się w mysią norę skryli.

– Chomo, przyjdzie nam tu zginąć pono – mówię, opuściwszy ręce. Nie spaliśmy już trzy noce, zmęczeni, zmordowani, ledwie dyszymy. Nie mamy siły ruszyć krokiem, a cóż dopiero uciekać po polu.

– Wiesz co – rzekł naraz Choma. – Pójdź za mną.

– Dokąd?

– Nie pytaj, chodź, jeżeli nie chcesz zginąć jak ruda mysz.